

ROCZNIK

RYMANOWA ZDROJU



STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU

2001
TOM VI

FOT-ART'94



Dr Ignacy Bielecki

Ignacy Bielecki

DR IGNACY BIELECKI – WSPOMNIENIA WNUKA

Gdy sięgam pamięcią do jej granic zawsze odnajduję w niej dziadka. Przypominam sobie jego kłującą brodę na moim policzku i oczy pełne uczucia mówiące mi kim dla niego jestem ja – jego imiennik. Dziadek był zawsze, była i mama Jadwiga wciąż na miejscu i ojciec Stanisław, choć rzadziej, pomiędzy rodziną i sądami w których pracował. Tato przyjeżdżał pod koniec tygodnia i wtedy mieliśmy te tajemne wieczory, gdy na jego piersi wspólnie z siostrą Oleńką słuchaliśmy czytanych przez niego utworów Mickiewicza oraz powieści Sienkiewicza i Verne'a. Gdy się urodziłem dziadek miał 90 lat, ale ja pa-

miętam go jako energicznego w pełni sprawnego człowieka. Codziennie rano wstawał punktualnie by po porannej toalecie w zimnej wodzie, zjedzeniu śniadania składającego się głównie z białego barszczu i nabiątu, przyjmować pacjentów. W pamięci pozostały mi szczegóły jego ubioru: złoty zegarek z łańcuszkiem w kieszonce kamizelki, szczyryk oprawiany płytkami z macicy perłowej, chemiczny ołówek z klipsem do notatek oraz biurko w gabinecie i szafy z setkami tubek, buteleczek i przyrządów. Dziadek wprowadzał mnie w życie – to przy jego łóżku codziennie wieczorem odmawialiśmy Modlitwę



Dr Ignacy Bielecki na czele „braci sokolej” (w środku)

Pańską i z jego ust usłyszałem pierwszy raz „Ja jestem Pan Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej z domu niewoli...”. Później przysłała kolej na systematyczne odpytywanie tabliczki mnożenia. Pamiętam rozsierdzenie dziadka gdy przy nauce dzielenia kolega, który mnie odwiedził, wykazywał większe postępy. Był dziadek adresatem wszystkich moich dziecinnych pytań na które udzielał odpowiedzi, jak dzisiaj sądzę, wyważonych i mądrych. Oczywiście po latach nie zawsze mogę rozróżnić, które zasady przekazał dziadek a które później ojciec ale przecież ich źródłem był ten pierwszy. Jako dziecko bardzo lubiłem chodzić lub jeździć na rowerze do kuźni na Posadzie Dolnej do Pana Kaczora lub Wołczańskiego. Szczególnie lubił mnie Pan Wołczański i kiedyś w przerwie pomiędzy pracami posadził mnie na kolana okryte skórzanym kowalskim fartuchem, podzielił się kanapką



Kapitan dr Ignacy Bielecki w okresie odbywania służby wojskowej w C.K. Wojskowym Korpusie Medycznym na Wawelu w Krakowie

i w rozmowie stwierdził, że moja rodzina jest szlachecka i nie pochodzi z tych stron, tylko przybyła gdzieś ze wschodu. Zrobiło to na mnie spore wrażenie, bo wiedziałem, że dziadek urodził się w Haczowie i po powrocie zapytałem go o tę zagadkę. Dziadek potwierdził informacje i opowiadał o ucieczce przed straszną wojną. Wspominam o tym, gdyż po latach zbierając wątki historii rodzinnej rozumiem dopiero cechy, motywy postępowania i charakter dziadka. Wojny XVII w. przegnały z rubieży wschodnich Królestwa Polskiego masy szlachty, mieszczaństwa i Żydów. Bieleccy herbu Janina schronili się w Haczowie należącym do dóbr królewskich, zapew-

ne tymczasowo. W zachowanych zapiskach historycznych z XVII w. zjawiali się zbrojnie na popisach szlachty Ziemi Sanockiej. Z czasem wtopili się w środowisko, rozrosli liczebnie i myślę, że wszyscy w okolicy noszący to nazwisko pochodzą ze wspólnego pnia. Nie wszyscy jednak zachowali świadomość swego pochodzenia, część uległa pauperyzacji. Nasza gałąź przeniosła tradycję o charakterze żołniersko-patriotycznym a z drugiej strony wrosła w ziemię haczowską poprzez więzy krwi. Po dziadku pozostało mi przywiązanie do tej wsi, która nie tylko nas przygarnęła ale przechowwała i wyposażała. Wyniósł mój dziadek z Haczowa sentyment do rolnictwa i szacunek dla włościan. Zresztą oceniał ludzi nie poprzez przyzmat urodzenia ale na podstawie przydatności dla społeczeństwa i poziomu fachowości. Osiadł w Rymanowie ze względu na bliskość stron rodzinnych. Z początku mieszkał w wynajętym mieszkaniu w północnej pierzei rynku. Później zakupił po zbankrutowanej firmie naftowej willę wypoczynkową, która jest do dzisiaj w naszym posiadaniu. Przy domu postawił stajnię i stodołę oraz zakupił około 8 ha ziemi tworząc własne gospodarstwo rolne. Do wojny utrzymywał doskonałe konie wyjazdowe i bryczkę ale ja pamiętam już tylko inwentarz składający się z dwóch dorodnych krów, świń, kur i oczywiście psów które u nas najczęściej wabiły się Wisłok. Była to miniatura haczowskiego gospodarstwa pradziadka Pawła, które jak opowiadał dziadek składało się z kilkudziesięciu hektarów, kilkudziesięciu krów i kilkunastu koni. Zdarzało się że w przerwie między przyjmowaniem pacjentów dziadek „wypadał” na balkon, by przez lornetkę sprawdzić jak przebiegają żniwa za stacionem.

Codziennie po pracy w ramach relaksu szedł w szarym fartuchu do stajni by czyścić bydło, wracając – ku rozdrażnieniu mamy – przynosił czasem na butach do domu, to co w stajni na ogół leży na ziemi. Puls życia domowego był zgodny z cyklami roku i pracą gospodarstwa. Z dzieciństwa pamiętam wśród domowników trzy pracownice. Zosia Krzysik tercjarka¹, klucznica i powiernica rodziny, która przez długie lata wdowieństwa dziadka po utracie pierwszej żony, prowadziła cały dom. Była Salcia Potocka również tercjarka zajmująca się gospodarstwem rolnym i do jej pomocy Tereska – ruska, niepiśmienna dziewczyna, która później wyjechała do Ameryki. Przez długie lata przychodziły od niej kartki z życzeniami i schowanym dolarem dla mnie czyli „Hnatia”. Wzajemne relacje między nami a pracownicami były zawsze ciepłe i bliskie tak bardzo, że właściwie Zosia i Salcia stały się członkami rodziny. Pamiętam gdy do blisko stuletniego dziadka przyjechał w odwiedziny przedwojenny furman. Dziadek bardzo się ucieszył, było wiele wspomnień i śmiechu. W pewnym momencie dziadek zażartował „...Jędrus aleś ty Rozenblatowi skupującemu zboże na obroku dał zarobić”. – „To pan Doktor o tym wiedział?...” – odparł zdumiony Jędrus, co dziadek skwitował serdecznym śmiechem. Na pożegnanie dziadek ofiarował Jędrusiowi buty do konnej jazdy i bryczesy wyszywane na siedzeniu skórą co ten przyjął z ra-



Ilustracja do artykułu pt. „Opowieść o sędziwym doktorze” zamieszczonego w 43 nr „Nowej Wsi” w 1961 r.

dością jako urodzony koniarz. W tym miejscu przypomina mi się dziadek już jako człowiek dotknięty fizycznie przez starość. Gdy skończył sto lat coś w nim pękło. Ojciec odsyłał pacjentki, które wciąż przychodziły do swego doktora (był specjalistą chorób kobiecych) bo biorąc pod uwagę coraz słabszy wzrok i słuch praktyka lekarska była już ryzykowna. Ministerstwo Zdrowia przysłało wprawdzie dla dziadka ówczesną rewelację - aparat słuchowy, jednak było to urządzenie niedoskonałe z którego nie chciał korzystać. Pamiętał jak po zakupie telewizora dziadek raz usiadł przed migającym czarno-białym ekranem i stwierdził do syna, że dziwi się iż wydał tyle pieniędzy na to urządzenie. Jeśli jednak chodzi o medycynę dziadek chłonał nowości. Przychodziła korespondencja z największych światowych firm farmaceutycznych z reklamami i próbkami, które dziadek wdrażał do praktyki. Zaczynał jako lekarz od prostej chemii i hydroterapii, którą cenił do końca życia i sam stosował (np. przed zaśnieciem wkładał nogi po kolana do konewki z zimną wodą) a kończył karierę stosując antybiotyki. Oddany był pacjentom bez reszty. Pamiętam jego opowieści o nocnych wyjazdach do odległych miejscowości np. Wisłoka Wielkiego dla przeprowadzenia operacji (porodu), o saniach, szubach, krzyżu na piersi na drogę, pistolecie za pasem i strzelbie na plecach furmana. Tych opowieści, anegdot i żartów było bardzo wiele gdy wieczorami dziadek siadał na swoim ulubionym bujanym fotelu i po lekturze gazet (jak dobrze, że nie było w tedy telewizji) odkrywał przed nami miniony świat dyliżansów, nauki przy lampie naftowej, Matejki spotykanego na ulicach Krakowa, weteranów Powstania Styczniowe-

go, świat Żydów i Rusinów. Z mniejszościami zamieszkującymi po sąsiedzku żył bardzo blisko i przyjaźnie, znał ich problemy jako pacjentów i ludzi. By być naprawdę blisko nauczył się ich języków i z Rusinami mówił po rusku, a z Żydami w jidisz. Wielką pasją mojego dziadka wypełniającą czas po obowiązkach zawodowych była praca społeczna. Działał w radzie miasta, w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół”, w Zarządzie Składnicy Kótek Rolniczych, Towarzystwie Zaliczkowym i Ochotniczej Straży Pożarnej. Po wojnie całą tę jego działalność i innych obywateli miasta władze zakoończyły przysyłając komunikat na połówce papieru maszynowego bez podania przyczyny tej decyzji. Ze zmianami powojennymi dziadek nie pogodził się nigdy, zarówno politycznie jako narodowy demokrat, ani jako działacz autentycznego ruchu spółdzielczego. W ramach zwalczania kułactwa dziadka obłożono dotkliwymi podatkami (których generalnie nie lubił płacić co dziś postrzegam jako wynikający ze szlacheckich anachronizm). „Wpadł” kiedyś do gminy i stukając laską o krzesło wołał „...doprowadzicie Polskę do głodu...”. Proroctwo to miało się spełnić później gdy poznaliśmy, co to puste haki i „kartki”. Charakter nowej władzy rozpoznał dziadek natychmiast, może wpływ tu miały doświadczenia pradziadka Pawła uczestnika Powstania Styczniowego, pokonanego i upokorzonego. Dziadek znał złowrogość dominacji rosyjskiej i przezornie po wojnie odsunął się od życia politycznego a skoncentrował na pracy zawodowej i rodzinie w myśl wyznawanych całe życie haseł pozytywistycznych. Trzeba jednak przyznać, że ówczesne władze doceniły jego pracę w uznaniu której otrzymał najwyższe odznaczenia

resortowe i państwowe mimo jego nielewicowych poglądów. Życie płynęło dalej, przybywało lat w stulecie koledzy lekarze śpiewali mu „dwieście lat” co przyjął ze śmiechem. Ja postrzegałem już jego coraz mniejszą aktywność, swoje codzienne ulubione spacerunki (po obiedzie 1000 kroków na balkonie lub w okolicy domu) odbywał tylko po mieszkaniu, często wsparty o wnuczka, bardzo schudł, źle słyszał i widział. Aż któregoś dnia ojciec przyszedł z wieścią, że dziadek nie mówi. Przyszedł ksiądz z ostatnią posługą, ale dziadek jeszcze nie umarł. Przychodziłem do niego i kiedy brałem go za rękę z jego oczu płynęły łzy. Po dwóch tygodniach mowa wróciła. Wieczorem przed snem ojciec poszedł do sypialni dziadka powiedzieć dobranoc. Nagle wrócił do naszego pokoju wołając, że dziadek umiera i chce się pożegnać. Staliśmy przy jego łóżku – cichym głosem wyszeptał, że modli się by po jego śmierci było nam dobrze i odszedł. Nie zdawałem sobie sprawy co się stało i dopiero kiedy pokój opustoszał zrozumiałem, że go już nie ma. Zaszyszałem się na werandzie tej na której tak lubił przesiadywać wieczorami i gdzie zrobiłem mu swoim pierwszym dziecięcym aparatem fotograficznym „Druh” zdjęcie – portret i płakałem. Dopiero ciotka zauważyła moją ciągłą nieobecność i wysłedziła samotnię. Tłumaczyła, że śmierć dotyczy wszystkich jest końcem starości, zmartwień i cierpienia i że kiedyś spotkamy się gdzieś tam z naszymi przodkami. Wierzę w to, czekam i jedynie trochę mi żal, że dziadek prawie nigdy nie odwiedza mnie w snach, a może po prostu wie, że i tak żyje w mojej pamięci i sercu.

Po latach przeczytałem testament dziadka, po dyspozycjach majątkowych i zaleceniach dla rodziny jest zapis charakteryzujący jego związek z Rymanowem w którym tak długo żył i pracował. Píše tam o zubożeniu spowodowanym wojnami i późniejszymi ograniczeniami i wyraża żal, nie mogąc zapisać środków finansowych dla swojego miasta.

Chcąc przybliżyć drogę życiową mojego dziadka szczególnie dla młodzieży, która nie zetknęła się z nim osobiście zamieszczam notę biograficzną.

Dr Ignacy Bielecki urodził się w 1862r w Haczowie. Matka Zofia z domu Szajna zmarła na gruźlicę wkrótce po jego urodzeniu. Na wychowanie syna duży wpływ miał ojciec Paweł uczestnik Powstania Styczniowego. Do gimnazjum uczęszczał w Przemyślu, świadectwo dojrzałości otrzymał w Jaśle w 1882r. W tym samym roku przyjął na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego i tu w 1888r uzyskał dyplom doktora wszech nauk lekarskich. Praktykę lekarską rozpoczął w Żmigrodzie, a od 1890r osiadł w Rymanowie gdzie pracował do śmierci. W 1895r mianowano go lekarzem miejskim i na tym stanowisku pozostawał do 1900r. Od 1901 objął funkcję lekarza okręgowego w Rymanowie okręg obejmował 17 gmin, zamieszkałych przez 15 tys. osób. Do jego obowiązków należało leczenie podopiecznych, zgłaszających się do niego, jak również wyjazdy do domu chorego. Był również lekarzem sądowym a na początku kariery do obowiązków należało oglądanie bydła i mięsa. Jednocześnie w 1896-1934 był lekarzem Kasy Chorych. Lekarzem

okręgowym pozostał do 1937r kiedy to odszedł w stan spoczynku.

Poza licznymi obowiązkami lekarza oddawał się pasji społecznikowskiej. W 1921r był wiceprzewodniczącym a w okresie 1923-1939 przewodniczącym Związku Lekarzy Okręgowych Małopolski. Był inicjatorem i współzałożycielem oraz długoletnim przewodniczącym (1919-1949) Zarządu Kółek Rolniczych. Przewodniczył Zarządowi Towarzystwa Zaliczkowego (1900-1939), był Prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” (1907-1949), brał przez wiele lat udział w pracach samorządu jako radny miejski, był prezesem Ochotniczej Straży Pożarnej (1895-1919).

Intensywna i sensowna praca w połączeniu ze zdrowym trybem życia (nie palił nikotyny, nie pił alkoholu, uprawiał sporty, odżywiał się racjonalnie, wykazywał poczucie humoru i optymizm) pozwoliły mu zachować sprawność do późnego wieku. Pracował zawodowo do setnego roku życia. Zmarł w Rymanowie w 102 roku życia jako jeden z najstarszych lekarzy polskich. W okresie międzywojennym należał do stronnictwa narodowego, a w okresie okupacji niemieckiej był lekarzem podziemia. W uznaniu za długoletnią pracę zawodową i społeczną uhonorowany licznymi, wysokimi odznaczeniami państwowymi i resortowymi a przez radnych miasta Rymanowa nadaniem ulicy przy której mieszkał, jego imienia.

Przypisy

¹ Tercjarka – osoba świecka związana z trzecim zakonem, bez obowiązku życia w klasztorze i składania ślubów.